

## WOLNOŚĆ I NIEWOLA

Przez parę sekund machaliśmy białymi szmatami na zewnątrz bramy, na Solec, jeszcze nie wysuwając się na ulicę.

Ruszyliśmy ławą. Zdążyłem się jeszcze cofnąć w drugi szereg pomiędzy dwie kobiety i wyszedłem w drugiej trójce na zgiętych kolanach, aby mi głowa nie wystawała. Jeśli strzelą z peemu od mostu - wpierv trafią tę starszą, jeśli od Zagórnej - tamtą drugą; zdążę jeszcze wskoczyć do środka. Zakręcając w lewo, pośrodku jezdni, kątem oka zauważyłem, że niewiele osób dołączyło się do pierwszych dwóch trójek. Szliśmy wolno, im wolniej, tym bezpieczniej, po ziemi niczyjej, jak po arenie, w promieniach wschodzącego spoza rzeki słońca, na widoku czterech armii - Krajowej, Berlinga, rosyjskiej i niemieckiej - wymachując białymi ręcznikami, poszewkami, podpinkami. Niektórzy mieli po jednej płachcie w każdej ręce. Podobnego uniesienia nie doświadczyłem od czasu, gdym się znalazł w kanale pod placem Krasińskich. Oswoivszy się z nową sytuacją, rozglądałem się, oczywiście oczyma tylko. Już dawno z tyłu pozostał wylot Wilanowskiej, gdy dostrzegłem dwóch Niemców w ruinach na lewo, leżących za karabinem maszynowym. Wpatrzeni przed siebie ani drgnęli, gdy ich mijaliśmy. Ale się czają, zdziwiłem się, nie wiedząc, że na Wilanowskiej pod numerem 2 i 4 byli jeszcze Polacy. Wątpię, czy ktoś z naszej grupki zauważył Niemców, tak byli wszyscy pochłonięci energicznym wymachiwaniem.

Pierwszy raz od rozpoczęcia bitwy o Stare Miasto odważyłem się iść samym środkiem ulicy i to na oczach niewidocznych Niemców, Polaków i Rosjan. Miałem tremę, ale nie bałem się. Przypuszczałem, że po tylu latach wojny Niemcy już nie są tak krwiożerczy jak dawniej, że przywykli i nie robi im różnicy, zabić czy nie zabić. Zależało, kiedy i jak się do nich podejdzie.

Domy wyrosły na prawo, przestłoniły Wisłę, cień padł na ulicę. Linia frontu pozostała daleko w tyle, ani żywego ducha, nikt nas nie bierze do niewoli. Idziemy, wymachujemy, gruz chrupie pod butami. Potężne filary wiaduktu mostu Poniatowskiego coraz bliżej. Zejść na bok w ruiny? Odrzucam tę myśl, im nas lepiej widzą, tym bezpieczniej.

Wtem z narożnej kamieniczki po prawej stronie wysypują się żołnierze; nie w *feldgrau*, a w ostrozielonych mundurach. Policja.

Machają ku nam rękoma i po chwili jesteśmy pośród nich. Po jasnobrązowych wypustkach poznają *Feldgendarmarie* [Żandarmeria polowa]. Wyglądają świeżo, czysto, ogoleni, wypoczęci, jakby dopiero co wojnę zaczęli. Zadowolone twarze - oto szczury uciekają, więc okręt tonie. Znowu jestem pod okupacją. Jeszcze się nie mogę oswoić, że tak stoimy razem, ja i oni, i nic się nie dzieje. Od razu wiem, że nie zanoszą się na rozwałkę. Znajduje się Niemiec, który płynnie mówi po polsku:

- Kto ma broń albo amunicję, niech odda.

Któż by na taki spacer wybierał się z rewolwerem. Zapada chwila kłopotliwego milczenia. Niegrzecznie nic nie odpowiedzieć, ale i niebezpiecznie oświadczyć, że się nie ma broni. Jeszcze gotowi pomyśleć, że odezwał się mądrała, miał broń i wyrzucił. Potem każdego z lekka obmacali raz, dwa, trzy; raz, dwa, trzy. Pro forma.

Niespodzianka! Niemcy zobaczyli, że ktoś się ku nim czołga. Ranna kobieta, musiała wyjść ostatnia, nie oglądałem się i dotąd jej nie zauważyłem. Czołga się, podnosi, potyka, pada. Niemiec mówi, żeby jej pomóc. Nie pali mi się z powrotem na ziemię niczyją, jest mi dobrze, gdzie jestem. Kurczę się w sobie odrobinę, przyginam kolana, nie patrzę na Niemca, ale też i nie całkiem się odwracam. Robię ruch, jakbym się już zbierał do drogi, ale nie ruszam się z miejsca. Nikt nie zgłasza się, chyba nie tyle z obawy przed kulami, ile aby nie zachowywać się inaczej niż wszyscy. Niemiec wyznaczył dwóch mężczyzn starszych ode mnie. Jestem najmłodszy w grupie, ale tyle mam tartej cegły, węglowego miału, tynku we włosach, w brwiach, w zaroście, tyle się namartwiłem, tyle nie jadłem i nie spałem, że chyba biorą mnie za mego ojca.

Parę kobiet wciąż macha rękami, więc tłumacz-żandarm zaleca, aby przestały. Z daleka zapewne dziwnie to wygląda. Niemcy stoją pomieszani z cywilami, białe płachty migają nad hełmami. Podtrzymując, przyprowadzili ranną, która od razu osunęła się na chodnik. Iść nie może, ale wzięła na drogę ciężką torbę. Trzeba się trzymać na nogach cały czas, jak w czasie śnieżycy, każdy wie, czym to grozi, więc podejmują ją, stawiają na nogi. Było nas trzynaścioro razem z ranną. Policzyliśmy się każdy z osobna, 13 razy i wciąż nas było trzynaścioro. Chrystus i dwunastu, Budda i dwunastu, księżyc obiega ziemię trzynaście razy do roku...

Pisząc teraz, nawet myślałem zmienić liczbę na dwanaście lub

czternaście, aby czytelnicy nie posądzili mnie o kłamstwo, ale byłoby to przeinaczeniem historii.

- Dlaczego wcześniej nie przyszli? - spytał żandarm.

- Nie puścili, bandyci nas nie puścili, bandyci!...

Zanieśli się skamlaniem, zwłaszcza kobiety. Teraz dopiero rozwiązały się języki. I nuże uważać się. Żandarmi zdecydowanie wyglądali na zadowolonych, z domieszką pogardy. Miałem dość czasu im przyjrzeć się. Jeden z nich zwłaszcza, a także ten co mówił po polsku, mieli twarze, jakie spotykało się tylko u niemieckich policjantów, rzadko wśród oficerów Wehrmachtu. Nawet gdyby włożył maciejówkę, jarmułkę, rogatywkę, przebrał się za kominiarza i tak byś poznał, że to Niemiec i policjant. Czarniawy mężczyzna, najwyższy spośród naszej trzynastki, mający coś z konia z kreskówek Disneya, poradził żandarmowi:

- Mało ich tam zostało, zrzucić jedną bombę i będzie koniec. Niemcowi twarz ani drgnęła, jakby nie usłyszał.

- Czy więcej ludzi chce wyjść? - spytał żandarm. Potwierdziliśmy. Jak tu im wytłumaczyć, że ludzie boją się rozwałki. I my, i Niemcy obróciliśmy się w kierunku przyczółka. Pod ostrym kątem widać było ruiny wzdłuż Solca i nawet nie mogłem odróżnić domku, skąd wyszedłem; przed pół godziną światła poza nim nie widziałem. Wszędzie cegły w żółtym słońcu. Gdzieś tam, wśród gruzu, koledzy gotują się do ostatniego boju. Niemcy nie zachowywali ostrożności, chyba nas tu nie widać z przyczółka.

Na próżno wyglądaliśmy, nikt nie ukazywał się na Solcu, a byłoby bezpieczniej, gdyby nas było więcej. Dzień zaczął się na dobre. Z napięciem i ciekawością wyczekiwałem chwili, gdy Niemcy uderzą. Zobaczę, jak zachowują się w boju.

Przydzielili nam dwóch żandarmów, obaj około trzydziestki, i ruszyliśmy w drogę. Jeden z maleńkim, starannie wygolonym wąsikiem, trochę wygląda na fryzjerczyka, drugi nijaki. Wszystko wskazywało na to, że nas nie rozstrzelają. Nie mieli po temu żadnych powodów, poza ewentualnie jednym, że było nas tylko trzynaścioro. Powodzenie nie zawróciło mi w głowie. Idąc, nieustannie przyglądałem się ruinom, planując, którędy uciekać, abym w razie potrzeby nie musiał namyślać się lub bez namysłu zrobić zły wybór. Pod wiaduktem mostu dwaj żołnierze w moim wieku, zwróceniu ku Wiśle, jedli ciastka. Na rękawach mieli opaski z nadrukiem „Herman Göring”. Ile bym dał, by sobie z nimi pogawędzić, zobaczyć, co z nich za żołnierze. Skręcamy w prawo w ulicę Czerwonego Krzyża.

Jej koniec otwiera się na Wybrzeże Kościuszkowskie, ale Wisły i Pragi nie widać, bo w poprzek, od kamienicy do kamienicy, wiszą dywany na sznurze. Zatrzymujemy się na wprost masywnego budynku. Niemcy wyglądają z okien, oficer wychodzi na zewnątrz. Domyślam się, że to komenda. Jeden z naszych żandarmów poszedł do środka, wrócił i pyta:

- *Wer spricht deutsch?* [Kto mówi po niemiecku?].

Moi przypadkowi towarzysze nie wyglądają na to, aby poza słowami „raus”, „schnell”, „Speck ” [Raus - wynoś się, Schnell - prędzej, Speck – słonina] i może „Hande hoch” cokolwiek rozumieli. Chyba jestem jak jednooki pośród ślepców. Zgłoszę się, powiem:

- *Ich spreche und verstehe deutsch nur etwas* [Ja trochę mówię i rozumiem po niemiecku]. Może mnie wezmą do środka, do samej jaskini lwa, zobaczą tych, co rozkazują i powiem, że powstańcy poddaliby się, gdyby uwierzyli, że ich się nie rozstrzela. Potrzebują dowodów, że będą traktowani jak jeńcy. Coś mi mówi, idź na całego, wszystko ci się udaje, a rozum strofuje, nie wygłupiaj się, udawaj głupiego.

Zgłasza się mężczyzna, ciemne kędziory à la baran, jakie często widzi się u Żydów. Z takimi włosami to ja siedziałbym cicho. Biorą go do środka. Pierwszy raz spoglądam na Niemców oczyma żołnierza i zaczynam w nich odkrywać także żołnierzy, nawet w mundurach policji. Nigdy ich nie widziałem na samej linii bojowej. Wszystko niezmiernie mnie ciekawi, nawet jak stoją, jak się poruszają.

Jestem jak mrówka, która się znalazła na szachownicy podczas turnieju o mistrzostwo świata i zadziera głowę.

Artyleria bije z Pragi, gwiżdżą pociski i gdzieś z dala po tej stronie Wisły eksplodują jak petardy poza sceną teatru. Salwa za salwą. Nagle spostrzegam, że tylko ja i Niemiec stoimy spokojnie, wyprostowani, zaś reszta kuca przy każdym gwiździe. Biorę się więc i ja do kucania, choć jasne, że pociski nie lecą ku nam. Odrobinę mi wstyd żandarma, nie patrzę na niego i staram się kucać bez przesady, aby nie poznał, że się wygłupiam. Najchętniej bym się razem z nim pośmiał z cywilów.

„Kędzierzawy” wraca z dobrymi nowinami. Pytano go, czy są pomiędzy nami powstańcy, upewnił władze niemieckie, że wszyscy są cywilami. Oficer niemiecki powiedział, że będziemy odprowadzeni poza Warszawę.

Ruszamy znowu w drogę z tą samą eskortą, z fryzjerczykiem i z tym drugim, nijakim. Na Dobrej, zaraz za rogiem leżą dwa trupy,

trochę nadpsute -grubej kobiety o wzdętym brzuchu i wyrostka trzynastoletniego, oboje z dziurami w czole. *Genickschuss* [Strzał w potylicę]. Żandarmi poprosili, abyśmy ich odnieśli w gruzy. Dlaczego dwoje tylko, skoro rozstrzelali setki? Odgadywałem - matka i syn, ukrywali się, gdy wszyscy już wyszli. Szybko chwyciłem chudego wyrostka za rękę, a ci, co się wzdrygali za długo, musieli dźwigać gnijącą kobietę. Od razu pomyślałem, a nuż to pretekst, prowadzą nas na ślepe podwórze na egzekucję. Starłem się nie spuszczać oka z Niemca i w każdej chwili kombinowałem, dokąd skakać w razie potrzeby.

Od tego momentu nic nie zakłócało powolnego marszu. Aby oszczędzać własne siły, a głównie bym mógł oddać się całkowicie zaślubinom z życiem, na ochotnika poniosłem torbę rannej kobiety, dzięki czemu nie musiałem jej podtrzymywać, jak to na zmianę robili mężczyźni, którzy mieli wolne ręce. Większość wyszła ratować życie obarczona pakunkami. Niemcy uważali, aby ci, co nic nie nieśli, nie wymigiwali się od pomagania innym.

Jeszcze trzy tygodnie temu sam się pętałem tutaj po Dobrej w poszukiwaniu noclegu. Odsyłany od Annasza do Kajfasza przeklinałem wszystkich od kaprała do porucznika. Czytałem potem w powstańczej prasie na Śniegockiej, jak szybko Powiśle padło. Nie trzeba było być wojskowym, aby poznać, że nie walczone tu zbyt zawzięcie. Większość kamienic stała zaledwie poszczypana odłamkami, tu i ówdzie nadgryziona pociskami. Nie brak było domów rozprutych bombą, ale ulice zachowałyby swój pierwotny charakter, gdyby nie to, że wszystko było wypalone. Orientowanie się w terenie nie nastęczało żadnych trudności.

Szylidy po dawnemu wskazywały, gdzie sklep spożywczy, a gdzie mydlarnia, towary żelazne czy zakład pogrzebowy. Napisy przy bramach objaśniały, że krawiec mieści się na drugim piętrze, a węgiel sprzedaje się w podwórzu. Gdyby jednak jakiś żartowniś zamienił tabliczki doktora z weterynarzem, kuśnierza z dentystą, kwiaciarnię z mydlarnią, rzeźnika z zakładem pogrzebowym, poprzestawiał numery domów parzyste z nieparzystymi, nie uczyniłoby to żadnej różnicy nawet Niemcom. Nie miałyby to więcej sensu niż zamienić tabliczki grobowe na zatopionym cmentarzu. Widziałem dzielnice bez porównania bardziej zniszczone, ale nie tak absolutnie martwe. Nawet grzechot karabinów maszynowych dodałby tym ulicom rumieńców życia, gruźliczych wprawdzie.

Tędy setki razy chodziłem, jeździłem tramwajem P. Każdy

zakamarek kojarzył się z ruchem i gwarem. Podobne wrażenie musiałby odnieść rozbitek z Atlantydy, przyglądając się byłej metropolii przez okienko łodzi podwodnej. A oto przemierzałem w cieniu swastyki dzielnicę, którą jeszcze o świcie uważałem za krainę wiecznego milczenia, skąd nikt nie wraca. Bez czapki niewidki, w pełnym blasku słońca, łagodnie eskortowany przez dwóch Niemców.

Odczuwałem dumę i radość, których się doświadcza wypuściwszy się pierwszy raz samemu na głębię; gdy woda nie wciąga w topiel, ale jest posłuszna ruchom ciała.

Co więcej, wydawało mi się, jakbym ulegał metamorfozie, nauczył się oddychać wodą jak ryba i pływać we wrogim, ale już nie zabójczym żywiole. Jakbym pod ochroną dwóch rekinów przemierzał dno oceanu.

Z Dobrej skręciliśmy w lewo pod górę. Żandarmi przystanęli parę razy, aby ranna i ci, co ją podpierali, mogli odsapnąć. Skończyła się wspinaczka na skarpe, podchodziliśmy do Krakowskiego Przedmieścia, serca Warszawy. Tak już przywykłem do unikania otwartych przestrzeni, że mimo obecności Niemców, przez moment doświadczyłem podobnego uczucia jak wtedy, gdy biegłem na zwiady z ogrodu Krasińskich do Białego Domu przez puste Nalewki, na wprost bramy getta. Pustka i cisza przerywana rzadkimi strzałami, rozległa i otwarta przestrzeń obrzeżona ruinami pod błękitnym niebem kojarzyła się ze śmiercią, podobnie jak swąd po trotylu i zapach prochu nocą. W lewo za pałacem Staszica zaczynał się Nowy Świat. Ostatni raz, prawie przed dwoma tygodniami czytałem, że tędy przebiegał front po upadku Powiśla.

Nic nie wskazywało, żeby nadal byli tam powstańcy. Żandarmi, nie przyspieszając kroku, przeszli szeroką ulicę. Skręciliśmy w prawo i tu po raz pierwszy opuścił mnie stan obojętnej błogości. Zobaczyłem plac Zamkowy. Czyżby nas mieli poprowadzić przez Stare Miasto? Skręciliśmy jednak Trębacką w lewo. Łudziłem się, że przez Focha wyjdziemy na plac Teatralny, gdzie znajdowała się Reduta Ratusza - dawny pałac książąt Jabłonowskich, a dalej poprowadzą nas Bielańską obok Banku Polskiego do Długiej i Arsenалу.

Minęliśmy ruiny na Focha, gdzie w 1939 roku, razem z przyjacielem Romkiem, moim przyszłym współnikiem gry w trzy miasta, szabrowałem ze zgliszcz sklepu łożyska kulkowe.

Zakradaliśmy się tam po ciemku. Czasem światło od przejeżdżających niemieckich samochodów padało do środka.

Wówczas należało przerywać pracę, która polegała na wybieraniu najmniej osmolonych łożysk. Stąd z łupem ja szedłem pieszo na Czerniaków, a Romek na Hożą róg Marszałkowskiej. Potem okazało się, że oliwienie łożyskom nic nie pomoże, raz przepalone - są na zawsze przepalone. Walały się w piwnicy mojego domu do samego Powstania.

Wyszliśmy na tyły ogrodu Saskiego. Eskorta ponaglała nas nieco, chyba na pokaz, ponieważ pierwszy raz natknęliśmy się na innych Niemców. Żołnierz siedział w otwartym włazie czołgu i jadł ciastko. Mijaliśmy napisy „*Achtung, Feinds Abschuss von links*” [Uwaga, ostrzał nieprzyjacielski z lewej]. Wiły się kable telefoniczne w różnych kolorach. Zaskoczyło mnie, że Niemcy brali Powstanie tak na serio. Znowu skręciliśmy w prawo w jakieś znajome zgłiszcza. Ktoś wyjaśnił: plac Bankowy.

Gdzieś tu w pobliżu znajdował się Arsenał i Pasaż. Na próżno rozglądałem się za znanymi mi szczegółami terenu. Z ruin wiało starą spalenizną i padliną. Od opuszczenia Solca po raz pierwszy doświadczyłem własnej bezsilności. Dotąd sam fakt, że żyję, i błękit nieba całkowicie wystarczały mi do szczęścia. Nie odczuwałem ani głodu, ani pragnienia. Woda z Wisły, którą mnie Sław poczęstował ubiegłej nocy, wciąż krążyła w mych żyłach. Pasaż Simonsa przyciągał mnie jak biegun magnetyczny, odczuwałem to wewnątrz własnego ciała. Dałbym złoto, gdybym je miał jeszcze, aby upewnić się, że naprawdę istnieje, zobaczyć upiorne ruiny, Arsenał, Harcowisko Granatników, barykadę w składzie kafelków, zajrzeć pod arkady, stanąć nad grobem przyjaciół. Może ostatni obrońcy jeszcze leżą na gruzie.

Odtąd już nic nie zakłócało spaceru, bo marszem tego nazwać nie było można. Zrazu nie odzywano się wcale, potem, gdy pierwszy strach przeminał, wymienialiśmy po parę słów, a widząc, że żandarmi są na to obojętni, jęliśmy rozmawiać nieco śmieiej. Sądzę, że moi towarzysze rozgadaliby się może i więcej, ale widok tego, co pozostało z Warszawy, zbyt przytłaczał.

Sam odezwałem się zaledwie parę razy z konieczności. Nikogo nie spytałem o nazwisko, gdzie mieszka, co robi, by się mną z kolei nie zainteresowali.

Byli mi właściwie obcy. Sam sobie wywalczyłem życie, a oni, choć najodważniejsi z bojaźliwych, gdyby nie ja, wciąż tkwiliby w piwnicy, a może już kopali własne groby. Wielu tłoczyło się w bramie na Solcu z tyłu za mną, ale z niej nie wyszło. Widocznie w ostatnim momencie

wstrzymali się, aby zobaczyć, czy do pierwszych Niemcy strzelą. Za długo zwlekali, a potem nagle byliśmy już za daleko i bali się wyjść sami. A może powstańcy ich nie puścili. Nie pamiętam, czy wśród naszej trzynastki znalazł się mężczyzna, który razem ze mną agitował za poddaniem się.

Pragnąłem, nie nagabywany, cieszyć się niebem bez dymu, głęboko wdychać chłodne powietrze.

Sztukas przeleciał nisko, przyjrzałem mu się uważnie, pierwszy raz bez niepokoju. Dziwne, ale jest po mojej stronie. Czułem się bezpieczniejszy pod nadzorem potężnej armii niemieckiej, która wie, czego chce. Znowu stałem się widzem i widzem chciałem pozostać na zawsze.

Żandarmi przystosowali swój krok do rannej. Oni dzięki nam, a raczej dzięki mnie, też jakby na loterii wygrali zdrowie i na pewno nie śpieszyło im się z powrotem nad Wisłę.

Współtowarzysze wymieniali wiadomości, pod którym numerem kto mieszkał, gdzie do sklepu chodził, jakich miał sąsiadów i zaznajomili się, nim Stare Miasto pozostało za plecami. Ktoś wyciągnął chleb i podzielili się ukradkiem. Nikt mi nie zaofiarował choćby kawałka. Znalazłem wyschniętą skórkę chleba na ziemi, obejrzałem, obwąchałem, odmuchałem, nadgryzłem, spróbowałem i zjadłem. Potem znalazłem drugą i jeszcze jedną.

A oto kościół Karola Boromeusza na „wyspie” pośród zgliszcz. Święci stoją kręgiem tak jak 6 sierpnia rano, gdy Wierny cofał się z Woli. Szczątki zamkniętych bram. Wtedy ludność nie chciała nas wpuścić, aby Niemców ułagodzić. Ogromna wyrwa na lewo. Tu musiała być szkoła na Walicowie, zamieniona na koszary SS, które wyleciały w powietrze.

A oto Nordwache, bunkier, dom Zommera, rozglądam się za bramą, gdzie zdobyłem „thompsona”. Dziwne, że Niemcy tak spokojnie idą, widocznie powstańców już na Grzybowskiej nie ma. Następna Wronia, dom po lewej stronie, skąd nocą z piątego na szóste pod batutą Małego krzykiem straszaliśmy czołgi. Dom mniej podziobany kulami, niż to sobie wyobrażałem. Jest mała wyrwa w ścianie tuż pod oknem, gdzie czołg nas wymacał. Spoglądam w lewo, w głębi skrzyżowanie Wroniej z Krochmalną. Tam na skraju chodnika dostałem kaprała od porucznika Klima przed frontem załęcznionej kompanii. Tędy prawą stroną szli Niemcy, czarne sylwetki na tle ognia. Oto kolumnienki... jakie małe, u ich stóp leżał Niemiec, a iskry sypały się nań i sypały.



Sto metrów na lewo kamienica, druga od Towarowej. Pamiętam ślubną fotografię na ścianie. Jaką świetną zupą nas tutaj poczęstowano. Stąd piątego po południu, z Tadzikiem na czele, uciekliśmy usłyszawszy komendę:

- *Verbindung links...*

Kilkanaście kroków i Towarowa. Tu piątego rano stałem z karabinem w mundurze Luftwaffe i pierwszy raz w życiu zobaczyłem wybuch pocisku... Pamiętam, kurz nagłym szarpnięciem poderwał się na barykadzie, zawisł w powietrzu na moment jak kłęb szarej waty i z wolna spłynął z wiatrem. Kamienie spadały na skrzyżowanie i toczyły się, podskakując po bruku.

Jakiś wariat wziął mnie za Niemca i brał się do strzelania. Przypomniało mi się, gdzie spadł pierwszy granatnik, zostawiając odcisk na asfalcie, ale już było za późno oglądać się.

Fundacja Staszica wypalona i wystygła, jak wszystko. Poczucie obowiązku nie pozwoliło mi zejść ze stanowiska nawet na chwilę, aby pochwalić się przed ojcem mundurem i karabinem.

Ulica Chłodna przeszła w Wolską - tabliczki „*Litznanstadtstrasse*”. Po obu stronach ciągną się zgliszcza bez historii. Coraz więcej małych domków, choć wciąż przeważają szkielety wysokich kamienic. Na lewo raz po raz prześwieca otwarta przestrzeń. Pomruk Śródmieścia zostaje w tyle. Idziemy nieco wolniej, ranna osłabła i mężczyźni podpierają ją jak mogą, aby nie upadła.

Moja myśl zwraca się ku przyszłości. Jestem absolutnie wolny, jak puch na wietrze. Pierwszy raz w życiu pojedę za granicę, dokąd też mnie wywiozą? Już się przyzwyczailem, że będę żył i myśl o podróży w nieznaną pobudza wyobraźnię. Jak w kalejdoskopie przewijają się nazwy ziemi niemieckiej: Heidelberg, Rottenburg, Mannheim, Weimar, Beyreuth, Erfurt, Rheinland, Schwarzwald...

Nie ma do czego wracać, zawsze to samo, za to świat stoi otworem. Bez korzeni - nogi tylko. Nawet Niemcy mi teraz nie zawadzają, są jak prawo ciężenia, wszechobecne, każdy mu podlega; przeszkadza w lataniu, pomaga w chodzeniu.

Mijamy remizę - stoją postrzelane tramwaje. Przed nasypem linii średnicowej domy piętrzą się jak woda przed tamą. Przechodzimy pod wiaduktem kolejowym i miasto zaczyna się kończyć. Na lewo ogródki działkowe. Mijamy kościół w gotyckim stylu, gdy nieoczekiwanie żandarmi skręcają w prawo. Zatrzymujemy się u podnóża stopni kościoła. U samego szczytu, przed wrotami dwóch w mundurach SS.

- Gestapo...

Fryzjerczyk wspina się po stopniach, coś im melduje i zawraca. Teraz my mamy podchodzić pojedynczo. Gestapowcy stoją oddzielnie. Bliższy, płowy, coś ma z policjanta i kata. Drugi, śniady szatyn o bardziej ludzkiej twarzy. Kto im podpadnie, dostanie w czapę. Wolałbym szatyna, który stał nieco w prawo u góry, ale ściągnąłbym na siebie uwagę, nadkładając parę kroków. Ustawiłem się w kolejce do płowego. Podczas gdy on sprawdzał mego poprzednika, wyjąłem portfel z kieszeni, odszukałem wśród papierów kenkartę i wyciągnąłem ją odrobinę, uważając, że lepsze wrażenie sprawię na gestapowcu wyjmując szybko kenkartę dopiero po otrzymaniu rozkazu, niż gdybym ją już wcześniej trzymał przygotowaną w ręku. Uprzedzanie rozkazu mogło być ocenione jako brak szacunku lub przemądrzałość. Byłem pewien, że się uda. Kiwnął na mnie. Wspiąłem się po stopniach, przystanąłem nieco poniżej.

- *Kennkarte*. Gestapowiec spojrział na mnie, przyglądał się fotografii, nie śpieszyło mu się. Kilka razy podnosił i opuszczał oczy.

- *Geburstag?* [Data urodzenia].

- *Oktober sieben, tausend neunhundert vier und zwanzig*. Niech by człowiek zająknął się, poplątał, zaraz dostałby kulę.

- *Adresse?*

- *Cäcilienstrasse zehn*. Patrzył mi w twarz... Zastanawiał się?... Oczywiście nie wie, gdzie to jest. Tego pytania najbardziej się obawiałem, bo ulica Cecylii Śniegockiej znajdowała się dość daleko od domu, skąd wyszedłem. A nuż mu przyjdzie ochota zasięgnąć języka u moich towarzyszy, więc zaraz dodaję.

- *Cäcilienstrasse ist eine kleine Gasse in de Nähe der Hafenstrasse* [Ulica Cecylii jest małą uliczką w pobliżu ulicy Portowej].

Tak przemianowali Czerniakowską. Zapewne nie wie, gdzie jest Hafenstrasse, ale „Hafen” znaczy port i domyśli się, że mieszkam przy wodzie, skąd wyszedłem - więc nie jestem napływowym elementem bandyckim. Oddał mi kenkartę z tym nieznacznym, niemniej nie budzącym wątpliwości gestem, że mój los już go więcej nie obchodzi.

- *Ausweiss* - zwrócił się do następnego.

Idąc śladem tych, których poprzednio wylegitymowano, przez gotyckie odrzwia wszedłem do kościoła. Kilkanaście osób znajdowało się w środku. Brakło ławek. Może je zużyli do palenia

zwłok, aby oszczędzić benzynę. Echo wtórowało krokom.

Podeszła pani z opaską Czerwonego Krzyża. Rozdzielając jedzenie półgłosem wyjaśniła, że skoro wpuszczono nas do kościoła, jesteśmy poza podejrzeniem i oczekujemy transportu do obozu w Pruszkowie. Z kawałkiem chleba w jednej ręce i wielką bryłą masła w drugiej usiadłem w konfesjonale. W półmroku przyglądałem się ołtarzowi. Czyżby to tu zakłuli bagnietami generała Sowińskiego? Tyle razy wybierałem się odwiedzić to miejsce historyczne. Jak sobie poradzić z masłem? Zjeść wszystko, dostanę boleści, wyrzucić szkoda. Topiło się w rękę. Lizalem powoli, nie mogąc się zdecydować, aż wylizalem do końca.

Razem z innymi wyszedłem przed kościół. Gestapowiec, szatyn o ludzkiej twarzy, grzecznie poprosił, abyśmy coś tam pomogli. Kędzierzawy zaraz przetłumaczył. Ledwie skończył, poderwaliśmy się ochoczo, by prośby nie musiał powtarzać, samą postawą bez słów wyrażając, że z przyjemnością oddamy tę przysługę dla podreperowania sąsiedzkich stosunków, tak zapaskudzonych. Szatyn powiódł nas, mężczyzn, w zgliszcza poza kościół. Żwawo, bez ociągania się, razem z innymi poszedłem niegęstymi ruinami, bacznie się przyglądając, żeby się nie dać zaskoczyć. Nie podejrzewałem, aby sam, tylko z pistoletem, brał się do egzekucji. Może ktoś tam już na nas czeka. Wiadomo było powszechnie, co zbytnia grzeczność oznaczała. Powiedział żeś zwolniony, odwróciłeś się uradowany, aby wracać do domu i dostałeś kulą w plecy.

Doszliśmy do dwóch ciężarówek. Szatyn pokazał stalowe płyty walające się dookoła i polecił ustawić je na sztorc, tak aby koła zasłonić przed odłamkami. Oko przysłowiowo mi zbiełało. Stal grubości palca. Markierować nie było co, zaparłem się i ja z całej siły. Przy ostatnich płytach nogi mi dygotały.

Obok basen z wodą, jakich mnóstwo Niemcy pobudowali, aby było czym gasić pożary w Warszawie, a teraz sami miasto palą i strzelają do strażaków. Ktoś się spytał, czy można się napić. Gestapowiec przyzwolił skinieniem głowy. Kładliśmy się po kolei na brzuchu chłepcząc wodę. Szybko obmyłem ręce i twarz. Choć gestapowiec nie okazywał zniecierpliwienia, śpieszyliśmy się, aby nie nadużywać dobroci. Odprowadził nas pod kościół. Siadłem na stopniach pogrzać się w słońcu, jak reszta. Szatyn odszedł, płowy kręcił się pomiędzy nami, przysiadł, wstał. Najchętniej wróciłbym do kościoła, do konfesjonatu, poza zasięg jego wzroku, gdyby to nie wyróżniało mnie od pozostałych. Wystawiwszy więc twarz do słońca przymykałem

oczy, niby to półdrzemiąc. Nasi, jak to nasi, obstąpili płowego i łamaną niemczyzną oraz na migi grzecznie go nagabywali, aby pozwolił pójść do pobliskich ogródków działkowych. Ja bym się nie odważył, nawet gdybym miał czyste sumienie. Gestapowiec pozwolił. Całą grupą przeszliśmy na drugą stronę Wolskiej. Od nie umytych jabłek i gruszek dostaje się dyzenterii, matka uczyła. Wszyscy rzucili się na owoce. Wziąłem parę pomidorów, dwa odmuchawszy zjadłem, resztę wsadziłem do kieszeni jako zapas witaminy C. Narwałem też zielonych liści tytoniowych na handel.

Jabłonki, śliwy, grusze, słoneczniki olbrzymy. Różne marchwie, buraki, pietruszka, czego dusza zapragnie. Wystarczyło przykucnąć, a wieża kościoła ledwo ponad gąszcz wystawała i dymów ponad Warszawą już nie było widać. Dziwiłem się, że nowych cywilów nie doprowadzili. Może ich wzięli na inne punkty kontrolne lub rozwalili. Nie przyszło mi do głowy, że walka o ostatnie domy przy Wilanowskiej mogła się przeciągać. Do popołudnia zebrało się 30-40 osób, niemłodych i głównie kobiet. Rannych wsadzili na wóz i zabrali osobno. W towarzystwie chudego, starszego żołnierza Wehrmachtu ruszyliśmy spacerem w kierunku południowo-zachodnim. Daleki grzmot dział przywodził jedną myśl tylko, że mnie tam nie ma.

Szliśmy wolnym krokiem wśród ruinek, opuszczonych domków, kęp zieleni. Cywile wdali się w rozmowę z Niemcem. Konwersacja szła jak po grudzie, ale szła. Informowali go o przeżyciach z Powstania i skutkach działania wszelkich broni. Atmosfera wytworzyła się tak odprężona, że nie zdziwiłbym się, gdyby zdjęli marynarki i koszule, aby się opalić. Nawet i ja dołączyłem się, aby porozmawiać z prawdziwym żołnierzem. Nasi właśnie mu tłumaczyli, w jaki sposób została ranna jakaś kobieta. Jeden palcem wskazywał własną pięść mówiąc „Bombe, Bombe”, dając w ten sposób do zrozumienia, że bomba była mała. Bardziej biegly w niemczyźnie dodał *kleine Bombe, nicht Handgranat* [Mała bomba, nie granat ręczny]. Wywiązała się dyskusja między Polakami, jak mu wytłumaczyć, że to od granatnika. Niemiec nic nie kapował, więc i ja zdecydowałem się wtrącić swoje trzy grosze.

- Stokes - mówię do niego, Stokes - powtarzam, ale widzę, że nic nie rozumie, więc wycofuję się zaskoczony. Na Starym Mieście u Lisa nieraz używano nazwy „Stokes”. Myślałem, że to tak samo oficjalnie przyjęty termin jak MG, MPi, Pak, Flak. Sam siebie zaraz strofuję za nieostrożność i już więcej się nie odzywam. I tak sobie idziemy rozciągniętą grupą, konwojent pośrodku.

Sześć tygodni temu włożyłem łuskę do lewej kieszeni bluzy panterki; złoto do kurtki munduru Luftwaffe, a portfel do spodni. Przyszło mi na myśl, że gdybym włożył łuskę do prawej kieszeni zamiast do lewej, zginąłbym od postrzału w brzuch. Gdybym zaś wtedy włożył złoto do spodni, a portfel z dokumentami do kurtki, która leży pod gruzami Pasażu Simonsa, gestapo nie wypuściłoby mnie żywego z kościoła.

W niskim słońcu wisi opar nad Warszawą, opar obłędu, co wszystko z ludzi na wierzch wydobywa. Myślę sobie, że powstańcy powinni złożyć broń, ale na pewno nie złożą i będą walczyć do ostatniego naboju, diabłu na uciechę.

Tory kolejowe, siadamy, kładziemy się w trawie. Podjeżdża pociąg elektryczny, pusty, przystaje obok nas. Automatyczne drzwi otwierają się. Po nasypie wdrapujemy się do wagonów, po przedziale na osobę. Drzwi się same zamykają. Jedziemy wolno, okolica podmiejska. Dym unosi się z kominów, czas kolacji. Ludzie przystają, obracają się, patrzą. Stuk kół zagłusza odgłosy Powstania.